



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
 Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### ZJAWISKA POWIETRZNE.

Mamy mnóstwo opisów zjawisk powietrznych, budzących nieraz trwogę w ludziach nieświadomych ich przyczyny, a które nie są niczem innym, jak odbiciem w gęstych warstwach chmur, promieni światła, oświetlającego bardzo silnie niektóre przedmioty na ziemi. Do zjawisk takich należał tak nazwany „duch góry”, widziany w Hartzu ponad górą Brocken, a będący odbiciem kamiennego pomnika wzniesionego na jej szczycie. Najświeższe zjawiska powietrzne oglądano w roku zeszłym w Paryżu, gdy w piękny i słoneczny dzień grudniowy, ujrzano ponad wieżą Eiffla jakby jej sobowtór w powietrzu. Ta druga wieża odtwarzająca pierwszą w obłokach, tem tylko się z nią różniła, że położenie jej było odwrotne, to jest że wierzchołkiem skłaniała się ku ziemi a podstawą wznosiła do nieba, jak to widać na rycinie naszej. Odbicie było bardzo dokładne, całe zaś zjawisko widziane przez wiele osób trwało zaledwie kilka minut, poczem rozwiało się niejako w powietrzu i znikło w jednej chwili.

### W ŻŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Dla chłopców była to przyjemność nielada.  
 Do pobliskiego miasteczka zjechał od kilku dni cyrk wędrowny na kilkanaście gościnnych występów, a rodzice chcąc podczas wakacji sprawić przyjemność dobrym swym chłopa-



Duch na górze Brocken.



kom, pozwolili im pod opieką wujaszka pojechać na przedstawienie.

Starszy z nich Władzio, uczeń drugiej klasy gimnazjum, zarówno jak młodszy dziesięcioletni Józio cieszyli się zatem niezmiernie, tembardziej, że wycieczka miała się odbyć wraz z wujkiem Kaziem, ukochanym dwudziestoletnim wujkiem, który będąc na politechnice w Rydze, przyjechał jak zwykle, na wieś, spędzać u starszej swej siostry wakacyjne ferie. Trzeba dodać, że obaj chłopcy przepadali za nim, bo też nie było chyba na świecie lepszego wujaszka. Zawsze wesoły, dowcipny i pełen najrozmaitszych pomysłów, rozweselał i pobudzał do ruchu dom cały. Chodzili razem na polowanie, do kąpieli, jeździli konno, podczas żniwa pomagali w polu robotnikom, a skoro mu przyszła ochota opowiadał im nieraz szeroko o swoim życiu studenckim, pełnym przygód i anegdotek, o kolegach, profesorach, wreszcie tysiące rzeczy nader ciekawych, które chłopców bawiły i zajmowały niezmiernie.

Cyrku żaden nie widział jeszcze nigdy w życiu, słyszeli tylko o nim wiele i najgorętszym ich życzeniem było zawsze, ujrzeć raz na własne oczy te wszystkie cuda. To też tak pilno było im w drogę, że skoro przyjechawszy do miasteczka, zajęli zakupione miejsca, w naprędce postawionym wielkim namiocie, nie było jeszcze prawie nikogo.

Wujcio Kazio drwił tymczasem z ich ciekawości i takie dowcipne robił spostrzeżenia nad tym „wspaniałym przybytkiem sztuki kuglarskiej”, jak nazywał szumnie tę budę pokrytą brudnym, obdartym płótnem, iż chłopcy śmiejąc się serdecznie, ani spostrzegli, jak czas zleciał, wewnątrz cyrku zapełniła małomiasteczkowa publiczność i rozpoczęło przedstawienie.

Przez cały czas nie spuszczała wzroku z areny. W milczącym zachwycie przyglądali się tresowanemu bardzo nędżnym koniom, ćwiczeniom akrobatów, oraz od czasu do czasu wybuchali głośnym śmiechem, słuchając niezręcznych dowcipów kłownów. Oczy błyszczały im z radości, wszystko zachwycało ich tu bez wyjątku, nie mogli też wyjść z podziwu skoro zwróciwszy się z jakąś uwagą do wujka, ujrzeli go drzemiącego.

— Ach, wujaszku! — zawołał z oburzeniem Józio — takie śliczne rzeczy pokazują, a ty nie patrzysz!...

— Mój kochany — odparł śmiejąc się student, który choć przymknął oczy, jednak nie myślał wcale drzemać — nie takie ja już cuda widywałem...

— Czy może być co piękniejszego! — pomyśleli obaj chłopcy z niedowierzaniem. Nie mieli jednak czasu na wyrażenie głośno swej wątpliwości, bo w tejże chwili na arenę wysunął się na kucyku dziesięcioletni może chłopczyk, ubrany po krakowsku i zajął znów całą ich uwagę. Muzyka, złożona ze skrzypiec, katarynki i bębna, zagrała niby krakowiaka, on stanął na koniu, ujął się pod boki i zaczął tańczyć.

Tańczył dość zręcznie, od czasu do czasu naglił do biegu kuczka i przyspieszał tempo tańca. Wkrótce koń zaczął biec galopa, on podrzucał w górę czapeczkę i nieprzestawał tańczyć. Ani razu nie zachwiał się nawet. Policzki mu pałały, oczy świeciły uśmiechem, wiatr w pędzie rozwiewał mu cienne długie włosy — i nie ustał aż dopóki zmęczony wierzchowiec nie zwolnił biegu. Wówczas, katarynka, skrzypce i bęben przycichły, on lekko zeskoczył na ziemię i za oklaski widzów, kłaniał się czerwoną czapeczką.

Jego występ miał być zakończeniem przedstawienia, ale zachwycona publiczność ani chciała na to przystać. Oklaski nieustawały, a krakowiak, który zniknął już za firanką, za każdym nowym ukazaniem się by podziękować za uznanie, ręką przesłanym całusem, zostawał zasypywany coraz głośniejszemi: bis! bis! bis!

Powstała taka wrzawa, że dopiero powtórny występ zdołał ją uciszyć.

Tym razem malec wyjechał na dwóch kucykach, przebrany w kostium dżokeja. Kuczki były jednakowej maści, bez żadnej uprząży, pomimo to stał każdą nogą na innym i poganiał ich ustawicznie. Po kilku minutach galopowania

konie rozdzieliły się i pobiegły w różne strony; za każdym razem skoro miały się minąć, chłopiec szybko przeskakiwał przez podaną mu obręcz osłoniętą bibułką, którą przedzierał w skoku, i znajdował się na grzbiecie drugiego.

Chociaż robił to zręcznie, przecież po pewnym czasie wiadać było na nim zmęczenie. Musiała to zauważyć publiczność, bo skoro leżąc na dwóch grzbietach zbliżonych do siebie koni, malec zniknął za zasłoną, choć nie szczędzono oklasków, nie wywoływano go więcej.

Teraz był już koniec. Ponieważ zaczęto się rozchodzić i nasi więc znajomi znaleźli się wkrótce na dworze, gdzie odnalazłszy furmana z końmi wsiedli na bryczkę i ruszyli ku domowi.

Noc była ciepła i księżycowa. Długi czas zachwyceni chłopcy nic nie mówili, przechodząc jeszcze myślą tylko co widziane sztuki, ale gdy zjechawszy już z miasteczkowego bruku ucichł nieprzyjemny turkot i znaleźli się w lesie, wujcio Kazio zwrócił się do nich.

— No, jakże chłopcy — podobało się wam w cyrku?...

— Och bardzo! — zawołał równocześnie z uniesieniem, poczem obaj westchnęli.

— Aż tak! no to dobrze — zaśmiał się wujek, ale dlaczego tak melancholijnie wdychacie, skoro jesteście zadowoleni? Ach, wiem już, to pewnie ta pełnia tak was czule nastroja, dodał.

Nic nie odpowiedzieli. Po chwili dopiero Józio, jakgdyby niemogąc wytrzymać, westchnął jeszcze głębiej i rzekł jakby do siebie, w zadumie:

— Jaki on szczęśliwy!...

— O tak — dorzucił Władzio, który widocznie o tem samem myślał. Ja mu zazdroścę....

— Ach i ja także chciałbym być na jego miejscu.

— I komuż to tak zazdrościcie szczęścia — zapytał zdziwiony tą rozmową wujcio, który teraz zaczął drzemać naprawdę, kiwając się na bryczce. Czy mnie? A, wiem już, to pewno mnie, że sobie spokojnie zasypiam, ale niemacie czego i nad czem wdychać, oprzyjcie się dobrze o mnie i śpijcie, Szymek nas obudzi skoro stanjemy przed domem....

— Ależ nie — przerwali chłopcy — my myślimy o nim, o tym małym dżokeju. Bo czyż to nie przyjemnie być musi wujaszku, tak harcować na koniu co wieczór jak on! Tyle ma ubrań prześlicznych, takie doskonałe koniki, i przytem sam taki elastyczny, lekki, jak piłka. Musi to lubić bardzo bo uważaliśmy jak jeździł i skakał, to aż mu się oczy „śmiały” — mówili jeden przez drugiego.

— Ach, a jak on zręcznie skakał!... tak lekko jakoś, uważałeś wujku? Albo jak tańczył prześlicznie na tym koniu, stojąc! Och, chciałbym być na jego miejscu, doprawdy!...”

Wujek tymczasem rozbudził się zupełnie i słuchał z uśmiechem z takim zapałem wypowiadanych słów, potem ten uśmiech zastąpił ironicznym spojrzeniem, pokiwał głową i rzekł poważnie:

— Oj dzieci z was jeszcze wielkie moje chłopaki.... Zazdrościcie zatem takiemu chłopcu cyrkowemu? Tak, bo wy niewiecie ile takie dziecko przecierpieć musiało, nim doszło do tej wprawy w gimnastyce, i lez ile wylało przytem, niewiecie ile batów znieść cierpliwie musiało i obelg wysłuchać.... O, niezawodnie nie macie nawet pojęcia, bo gdybyście je mieli nie zazdrościlibyście losu tym małym męczennikom. Wiercie mi, ja także wiem coś o tem....

Było tyle wzruszenia i prawdy w poważnym głosie wesołego zazwyczaj wujka, że zadziwiło to aż chłopców. Zapomnieli już o tym, któremu przed chwilą zazdrościli, bo przyszło im na myśl, zkad wujcio może tak dobrze znać życie cyrkowe i dlaczego tak nad niem ubolewa. Już mieli go o to zapytać, kiedy po chwili sam zaczął dalej:

— Kiedy, kiedy, jeżeli będziecie chcieli posłuchać i będziemy mieli trochę spokojnego czasu, opowiem wam niedługą historię takiego małego bohatera, którą znam dobrze, bo patrzyłem na nią własnymi oczyma. A wtedy osądzicie sami,



czy lepiej mu zazdrościć mniemanego szczęścia, czy też, zapłakać nad nim....

— Och dobrze! Opowiedz nam tę historję wujaszku teraz, zaraz — zawołał żywo Władzio.

— Opowiedz, mój drogi wujaszku! — zawtórował Józio.

— Dziś już zapóźno — tłómaczył student broniąc się od uścisków proszących chłopców — a zresztą patrzcie, już dojeżdżamy do domu, ale opowiem wam za to jutro, kiedy już tak chcecie.

— Nie, nie — wołali obaj — dziś koniecznie. Nie jest jeszcze tak późno, mój złoty kochany Kazieczku, zrób nam tę przyjemność!

— Ale dajcież pokój, jest już jedenasta godzina i w domu wszyscy spać muszą. Pójdziemy po cichutku prosto na górę do naszego pokoju i położymy się spać natychmiast. Jutro za to, jutro.

— Mnie się jeszcze ani marzy o spaniu, doprawdy! — zaręczał proszącym głosem Władzio — chodźmy do ogrodu, w altance nam wujcio opowie....

— Tak, doskonale, w altance; nikt się nawet nie dowie jutro żeśmy tam byli — przekonywał Józio.

Wujkowi żal się zrobiło ciekawych chłopaków.

— No, a wstaniecie jutro rano? — zapytał po chwili.

— Choćby o piątej! — zawołali z radością.

— Słowo?

— Jak ojca kocham! — zawołał Józio.

— Słowo honoru! — wygłosił Władzio, rad że mu na myśl przyszło tak poważnie brzmiące przyrzeczenie, które jak mu się zdawało bardzo przystawało drugoklasiście.

— Ty się jeszcze chłopcze z honorem nie wyrwij — napomniał żartobliwie student — bo nie wiesz co to słowo znaczy, No, ale kiedy już tak obiecujecie, to położycie się zaraz spać a ja wam do poduszki opowiem. A teraz marsz na górę i prosto do łóżek! — zakomenderował, bo właśnie bryczka zatrzymała się przed bocznym gankiem.

Władzia uraziły mocno upakarczające słowa wujka i żeby to był powiedział kto inny, niezawodnie niedarowałby tego — na niego jednak, jak tu się nawet gniewać? Udał więc, że nie słyszy, zsunął się z bryczki, i pocichutko żeby nie obudzić rodziców, pobiegł za Józkiem na górę do swego pokoju.

Odmówiwszy pacierz w okamgnieniu byli już w łózkach. Student otworzył okno wychodzące na ogród, przez które wpadło wonne powietrze nocy letniej i uszał wnet blaskiem podłogę ciekawy księżyc; wuj usiadł w niem, i puszczać kłęby dymu z papierosa, tak zaczął:

— Byłem wówczas od niedawna dopiero na politechnice rygskiej, kiedy zdarzyło mi się, że niemając co robić w domu z długim zimowym wieczorem, wyszedłem bez celu na ulicę. Szedłem przed siebie, gdzie mnie oczy poniosą i niewiem jak daleko byłbym zaszedł, gdyby mi drogi nie zastąpił, kolega. Był to Stach, wesoly radomiak, jakeśmy go zwali, poczciwy chłopak, z którym żyliśmy bardzo dobrze — to też zaraz mnie zapytał:

— Gdzież tak leziesz krecie ziemny?

— Gdzie mnie mój instynkt zawiedzie — odparłem. Nie wiem co robić z całym dzisiejszym wieczorem.

— Ach otóż to szczęśliwe usposobienie! — zaczął trze-pać po swojemu, nudzisz się! Żeby to ja kiedy mógł się nudzić! ale gdzie tam, człowiek zawsze goni za czasem. Czeka-kaj dam ci radę. Niech cię kreci instynkt poniesie zatem do nowego cyrku, kiedy nie masz nic lepszego do roboty. Warto, na honor warto! Byłem tam wczoraj i dziś chętnie bym poszedł, tylko obiecałem być u Julka i towarzyszyć mu na jakiś tam wieczorek „pod blachą”. Ale grzmij sam, zobaczysz tam niezrównanego malca, któremu naprawdę warto dać złoty medal za odwagę i zręczność.... Dla niego jednego warto iść. Ale ja tu miele, a tam na mnie czekają. Do widzenia kolego, do jutra....

Spieszył się widocznie, bo zwykle mówił jeszcze więcej, i za chwilę znikł mi z oczu. Spojrzałem na zegarek, ... była właśnie pora na przedstawienie. Co prawda wielkiej ochoty

nie miałem, ale ponieważ perspektywa samotnego błędzenia po pustych prawie ulicach nie nęciła mnie bynajmniej, zwróci-łem się tedy w stronę, gdzie od kilku dni przybyły podobno z Hamburga ogromny cyrk ulokował się na zimowy sezon. Dochodząc do gmachu, uderzył mnie przyklepiony na kiosku olbrzymi czerwony afisz. Chciałem go przeczytać, ale migotliwe światło latarni przeszkadzało mi bardzo. Wiem tylko, że było w kilku językach i dużemi literami wypisane: „Wy-stęp Harrego, ośmioletniego pogromcy dzikich zwierząt”, co też rzuciło mi się w oczy od razu. Kupiłem ostatni bilet i za chwilę znalazłem się w murowanym wielkim budynku zapeł-nionym po brzegi publicznością. Przedstawienie tylko co roz-poczęto. Cyrk był rzeczywiście pierwszorzędny. Nie można się było dość napatrzeć wybornie tresowanym koniom, zachwy-cającym powierchownością i rasą, zręczności akrobatów, prawdziwemu dowcipowi kłownów.... Słonie, te zdaje się do niczego niezdatne, ociężałe zwierzęta, chodziły po linie, małpy, przebrane za hufiec zbrojnego wojska pod wodzą oran-gutana, dokazywały cudów waleczności w potyczce z oddzia-łem psów, z olbrzymim terre-neuve'em na czele, ale wszystko to nie sprawiało tak miłego wrażenia, jak ukazanie się niewiel-kiego chłopczyzny, który na sześciu grubych łańcuchach wpro-wadził, jak pieski na wstążeczkach, sześć prześlicznych oka-zów lwa afrykańskiego.

(d. c. n.)

## ŁABĘDZI ŚPIEW.

W noc letnią, na stawie, wód mącąc kryształy,  
Śród łożin raz łabędź kołysał się biały  
I śpiewał. A nie był to zwykły krzyk dziki,  
Śpiew jego brzmiał nakształt niebiańskiej muzyki,  
Więc cisza dokoła zaległa grobowa,  
Sicichł szelest owadów i ptasząt rozmowa  
Umilkła, jakgdyby przyroda wraz cała  
Tym śpiewem łabędzia zdumiona, słuchała.  
Zmilkł nawet słowiczek w zielonym gaiku,  
Wtem zięba doń szepnie: Cóż mości słowiku,  
Śpiewamy wszak pięknie, lecz mówiąc otwarciiej,  
Tożeśmy łabędzia oboje nie warci.  
Cóż to za głos cudny, pierw przykry i dziki,  
A dzisiaj brzmi nakształt niebiańskiej muzyki,  
To raczej Orfeusz łabędzia wziął postać,  
O jakżebym chętnie pragnęła nim zostać!  
— Co do mnie, rzekł słowik, zachwycam się głosem,  
Lecz zgadzam zupełnie z przeznaczeń mych losem:  
Gdyż łabędź tak śpiewa u życia swęj mety,  
I śpiew ten niebiański ostatnim niestety!  
Nim słońce zabłysło i mgły się rozwiały,  
Już łabędź legł martwy na wodne kryształy.

Witold Jaszczyński.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

(Dokończenie).

Pałac Dożów wznosi się tuż obok bazyliki św. Marka, dawniej nawet drzwi, dzisiaj zamurowane, łączyły go z nią; nie zdobi on już jednak wielkiego placu, ale piazzetę, którą ogranicza z drugiej strony front Nowych Prokuratorów i „Giardino Reale” (ogród królewski) a z trzeciej, ciepłe fale Adryatyku.



Pałac Dożów jest tego samego stylu co „palazzo Foscarini” wznosi się na podwójnej kolumnadzie słupów dźwigających mur wysoki, przerywany tylko ostrołukowymi oknami, pałaców, a cały ułożony we wschodni deseń, z łomów białego i czerwonego marmuru, u góry otoczony ślicznymi freskami i lotnymi wieżyczkami; słupy wszystkie z białego marmuru, prócz dwóch, ciosanych w czerwonym, a oznaczających miejsce, w którym skazani za polityczne, często niedowiedzione, przestępstwa, śmierć ponosili. „Scala dei Giganti” (schody Olbrzymów) prowadzą na podwórze i pierwsze piętro pałacu Dożów, zostały one tak nazwane dla olbrzymich zdobiących je posągów Neptuna i Marsa, oraz Adama i Ewy. Na tych schodach odbywała się zawsze koronacja Dożów.

Przez zdumiewające swym przepychem „scala d'oro” (złote schody) wchodzi się do sal pierwszego piętra, następnie przez „scala dei Censori” (schody cenzorów) do sal drugiego piętra i muzeum archeologicznego. Sal wszystkich



Sobowtór wieży Eiffla.

ty, o tyle straszny i ponury, chociaż okazały, jest ze strony kanału, ponad którym łączy się Mostem Westchnień z Plombami.

Pałac Dożów jest oddzielony pobrażem od morza; ciągnie się ono poczynając od piazzety wzdłuż całej Wenecji, przeskakując mostkami przez kanaliki (takich mostków liczy Wenecja 378), dalej przechodzi ono w szerokie „Riva dei Schiavoni” (wybrzeże niewolników), ulubione miejsce spacerowe Wenecyan i zakończy się dopiero publicznymi ogrodami. Piazzeta leży przy ujściu Grande Canale, ozdobiona jest dwoma granitowymi kolumnami: jedna z nich dźwiga na szczycie skrzydlatego lwa Wenecji, druga pierwotnego jej patrona św. Teodora. Każdy z dożów obowiązany był ze swych wojennych wypraw przywieźć coś do zdobyci Wenecji, zawdzięcza ona wiele swęj wspaniałości, temu zwyczajowi; kolumny wyżej wspomniane są także podobnym wojennym łupem. Wspaniały widnokrąg morski otwiera się już przed piazzetą: zdaleka na wysepkach błyszczą kopuły kościołów, San Redentore i San Giorgio Maggiore; ogromne parostatki angielskie i austriac-



Most westchnień.

jest z osiemnaście, są one ogromne, ozdobione pysznie rzeźbionymi sufitami, drogocennymi malowidłami; w sali Wielkiej Rady, znajduje się największy obraz olejny na świecie, wykonany przez Tintoretta, przedstawiający „chwałę niebieską”, na pierwszy rzut oka nie można nic w nim rozróżnić prócz głów i rąk bez miary i bez końca. Jedna z sal utkwiała mi w pamięci, mieszcząc pięć ogromnych globusów, w tej samej zdaje mi się, zaczynają sufity się stroić w portrety wszystkich dożów po kolei, między nimi dłużej wzrok zatrzymuje żalobna przestrzeń z napisem złotym, zastępująca portret doży Falierego.

Ciemne i ponure krużganki pałacu Dożów prowadzą do straszliwych więzień, do „Ponte dei Sospiri” (mostu westchnień) i do Plomb; niemożna pojąć zwiedziwszy te okropne, kaźnie, jak więźniowie tam nieraz po dwadzieścia i trzydzieści lat żywi spędzić mogli. Wzniesienie kamienne niczem nie pokryte, służyło im do spoczynku, ręce i nogi mieli skute tak grubymi łańcuchami, że je teraz z trudnością dźwignąć można; to też o ile piękny i wesoły jest pałac Dożów ze strony piazz-

kie Lloydys zarzucają tu kotwice; za budynkami Dogany di Mare i wspaniała Santa Maria della Salute leżącymi na przeciwnym końcu Grande Canale, widać kołyszące się wierzchołki masztów mniejszych okrętów, które mogły stanąć w samym weneckim porcie.

Włoskie „vaporetta” kursują ciągle od swęj stacyi, znajdującej się niedaleko wybrzeża niewolników, do dworca kolei żelaznej i do wysepki otaczających Wenecję; między niemi uwijają się barki, łódki, gondole, te ostatnie czarno pomalowane, na przodzie upiękzone złotymi fantazyjnymi deseniami skrzydlatych lwów weneckich, św. Jerzego walczącego ze smokiem i t. d., prują one śmiało wodę cechującami je żelazniami dziobami, wysoko zakrzywionymi w górę. Nie pojmuję, jak ten port wenecki, który swą gładką i spokojną powierzchnią, przypominał nam staw ogrodowy, mógł się tak rozhułać, żeby aż w swych nurtach wielki statek angielski zatopić, jak to niedawno miało miejsce, cała załoga przynajmniej uratowana została.

Przypuściłabym już prędzej, aby taki wypadek mógł



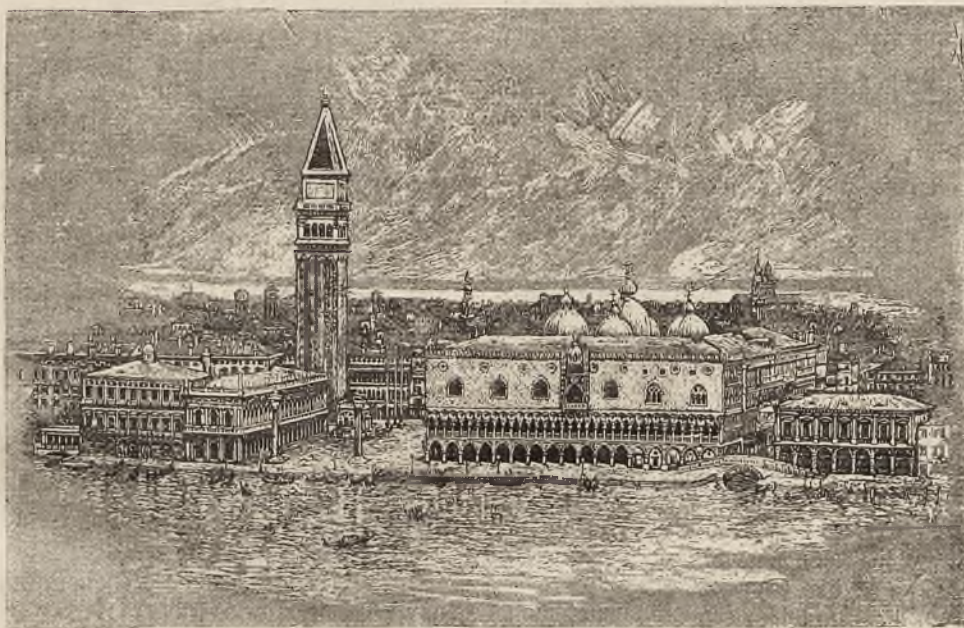
mieć miejsce na wodach, otaczających wyspę Lido, do której vaporetto przywozi co dzień osoby, chcące użyć kąpieli w falach Adryatyku, tramwaj przenosi je następnie na drugą stronę wyspy, gdzie się znajduje długi szereg łaźni, zbudowanych jak pierwotne mieszkania ludzkie na palach. Po kąpieli udają się zwykle wszyscy na glorię, przybudowaną do łaźni, na której można się pokrzepić posiłkiem, słyszeć muzykę i wzrok napawać rozległym morskim widokiem, ograniczonym na linii horyzontu, rybackimi statkami, zarzucającymi w wodę swe sieci.

Morze było spokojne i ciche, ale później poczęło się burzyć i pienie, fale z taką siłą o brzeg uderzały, że łaźniaki całe się trzęsły; zdaleka przychodząc, słycać już było szum morza i widać spiętrzone wały fal.

W kąpieli należało się całą siłą trzymać sznurów, aby się oprzeć tym kolosom wodnym.

mu krajobrazowi, oblanemu promieniami księżyca, kościołom i pałacom wodnego grodu, odbijającym białością swych marmurów, na tle szafrowem nieba, aniżeli przysłuchiwać się tym monotonnym ludowym pieniom.

Naprzeciwko naszego hotelu stał wspaniały kościół „Santa Maria della Salute” po św. Marku najpiękniejszy przybytek boży w Wenecyi, architektura jego zdaje się już owiana lekkim duchem barocco, co nie przeszkadza wcale, że zdumiewa majestatyczną okazałością swych kształtów i zlanem pojedynczych części w pyszną a zgrabną całość. Prócz niego i pałaców, o których już wspomniałam na początku mego opisu, zdobi jeszcze „Grande Canale”, kościół „Santa Maria dei Frari”, kościół „San Rocco” ze swoją scuolą (szkołą) tego samego imienia, akademiami sztuk pięknych zawierająca 23 sal zapełnionych arcydziełami malarstwa i rzeźbiarstwa, nad którymi króluje „Wniebostąpienie Matki Boskiej” Tycyana, głośne na świat całe.



Pałac królewski, Piazzetta, Pałac dożów.

Wyspa Lido przypomina trochę stały ląd, bo pokryta jest obszarami pól, na których uprawiają kukurydzę, morwowe drzewka, połączone festonami winnej latorośli.

Od granicy Włoch aż do samej Wenecyi jedzie się ciągle takimi polami, widok ich nudny i monotony, przerywany tylko gdzieś tam mieszkaniami ludzkimi, o dachach z okrągłej cegły właściwych południowym krajom.

Jedną z cech weneckiego życia są serenady wieczorne; odbywają się one czasami na placu św. Marka, który roi się wtedy od ludu, krążącego pod arkadami Prokuratorji, lub przysłuchującego się muzycznym dźwiękom, popijając kawę przy rozstawionych dokoła stolczkach. Częściej jednak — szczególnie podczas pełni księżyca — łódka ozdobiona czerwonymi lampami, kierowana przez całe towarzystwo śpiewaków, płynie wieczorem przez Grande Canale, zajeżdża przed każdy hotel, śpiewając różne pieśni, jak: Santa Lucia, Rialto i t. d., a za nią ciągnie cały szereg gondol zapełnionych cudzoziemcami, szczególnie anglikami, których w Wenecyi na każdym kroku spotkać można. W końcu jednakże znudzą codzień powtarzane pieśni i podróżni wolą przypatrywać się morskie-

Wenecya ma dwa teatry, na placu przed większym stoi pyszny pomnik Manina, prezydenta republiki weneckiej, który pierwszy pobudził Wenecyan do chwycenia za oręż w obronie wolności, nosił on dziwnym zbiegiem okoliczności, nazwisko ostatniego weneckiego doży, grobowiec jego znajduje się w jednej z nisz zewnętrznych kościoła św. Marka, jest wielki i okazały, podtrzymywany przez dwa lwy. W mniejszym ludowym teatrze byliśmy na dramacie Otello, gra i dekoracja były bardzo piękne.

„Grande Canale” przerywa Wenecję w kształcie olbrzymiego S; prędko jadąc, przebyć go można w pół godziny, myśmy jednak nie mogli dotrzeć na przeciwległy jego koniec, gdyż zwykle zwiedzaliśmy jaki pałac lub kościół po drodze, albo mimowoli dłużej zatrzymywali gondolę, przypatrując się gmachom otaczającym go, omszonym tyłu różnemi kolejami losu, przez które przechodziła ta „Królowa Adryatyku”, a które i na nich znaczne pozostawiły ślady. Większa część tych pałaców, kolebek potężnych rodów weneckich, dziś na czysto praktyczne obrócona została cele; jedne wzięły w posiadanie główny urząd poczt, drugie służą za skład wielkiemu



zakładowi fabrycznemu, inne zupełnie niezamieszkałe w okropny stan opustoszenia i zniszczenia popadły; większej ich liczby wcale nawet zwiedzać niewolno.

Zwiedzając raz kościoły „Santa Maria del Orte” i „S-ta Giovanni e Paulo”, położone za placem św. Marka, wywiózł nas gondolier na pełne morze, z kąd zdaleka widać było czerwonym murem otoczony cmentarz wenecki, którego jednak zbliżająca się chwila wyjazdu na Lido, zwiedzić nam niedozwolila.

Czas już wielki kochana Gołąbko, bym cię pożegnała, gdy jednak chcę to uczynić, nowy niewspomniany szczegół przychodzi mi na myśl i żal mi niepodzielić się nim z tobą, oraz z innymi czytelniczkami Wieczorów; otóż nie wspomniałam jeszcze o Campanilli czyli wieży św. Marka, wznoszącej się z placu weneckiego patrona ponad wszelkie najwyższe szczyty miasta. Przepyszny widok ma się przedstawiać z jej wierzchołka, nie tylko na Wenecję, ale aż na łód włoski i dal morską, wchodzi się na nią nie schodami lecz równią pochyłą. Podnoże wieży zdobi rodzaj wysokiej terassy, łodzięta zwanej, w różowym marmurze wykutej przez Sansowina, odznaczającej się lekkością i wdziękiem, w około zaś zalegają zwykłe bruk, pożywienia szukając, gołąbki św. Marka, o których muszę wspomnieć szczegółowiej, bo byś mi przecież nieprzebaczyła milczenia, dotyczącego twych współbraciszków; nie różnią się one niczem od naszych pospolitych domowych gołębi, mają takiej samej szaro-burej barwy piórka, odznaczają się coby ogromną mnogością i zadziwiającem oswojeniem, posuwając się aż do siadania każdemu obcemu sypiącemu im ziarno, na ręce i ramiona.

Dowcipni włosi ofiarują dla nich przechodniom torebki z pożywieniem, ale nie darmo. Włoch nigdy nie bez zapłaty nie robi, a tembardziej nie da; dla własnych więc gołębi, na utrzymanie, których mają raz na zawsze przeznaczony żelazny kapitał, każą przybyszom ziarno kupować, podwójnie zarabiając tym sposobem.

Już to żaden chyba naród nie posunął chciwości i przebiegłości w wyzyskiwaniu przyjezdnych, do tego stopnia co włosi; plac św. Marka zalegają zwykłe ciceronowie, ofiarujący swe przewodnictwo po kościołach i pałacach, każąc sobie potem niesłychane sumy płacić. Podczas Mszy św. kościelni modlić się nie dają, kołacząc nieustannie skrzyneczkami przeznaczonymi do składek. Gdyśmy weszli do kościoła San Salvatore, położonego przy placu tego samego imienia, spostrzeżliśmy że kościelny zakrywa szybko wszystkie obrazy i rzeźby, gdyż kazał sobie potem płacić osobno za każde odsunięcie firanki, utrzymując że nie byłibyśmy ujrżeli tych arcydzieł, żeby je nam nie był podkrywał.

To małe zdarzenie może posłużyć za rys charakteru wszystkich włosów prawie, którzyby niewiem jaki sposób zarobku wymyślili, aby tylko dostać „piccola moneta”.

Gołąbki św. Marka pociągnęły mimowoli za sobą charakterystykę swych panów, lecz teraz całują cię czempredzej, miła imienniczko skrzydlatych mieszkańców Wenecyi, bojąc się, aby nowy jaki szczegół nie przydłużył jeszcze mego opowiadania.

Szczerze ci życzliwa

*Sarneczka z nad Sanu.*

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

Gorzki ten śmiech szyderyczy odbił się o ściany groty nadmorskiej, w której zakątku znajdowali się wszyscy czterej młodzi anglicy; po krótkim na przedce spożytym posiłku, kapitan Lory rozmawiał w pobliżu z panami Thornem i Mac-Ulmem, słudzy siedzieli gromadką na ziemi u wejścia groty, John nie tracąc czasu spał już. Kilku majtków stało obok, piękny mały pa-

rowiec kołysał się wdzięcznie, prawie tuż u wybrzeża, niezmiernie tutaj dogodnego do wylądowania. Niezbyt wysokie, ale strome skały otaczały zębatym wieńcem maleńką zatokę zamykając ją, a raczej maskując prawie zupełnie od strony morza i ładu. Potrzeba było koniecznie tak zwinnego statku jak Almagiva i tak doskonałego sternika jakim osobiście był młodzieutki, a rzutny kapitan Lory, ulubieniec swych podkomendnych, po większej części starych wilków morskich, ażeby wynaleźć tajemnicze kręte przejście, rodzaj tunelu, i umieć przemknąć się niem do wnętrza niewidzialnej ani od strony ładu ani od morza, zatoki. Noc zapadała.

— Prawdziwie, nasze postępowanie godne jest Anglików! — syknął Robert zjadliwie w odpowiedzi na gorzkie słowa Edwarda.

— Nigdy sobie nie daruję że ja, najstarszy z was wszystkich — mruknął Jerzy — jestem tak nieprzytomny w ważnej danej chwili, tak niezdolny do inicjatywy, gdy od chwilowego natchnienia i odrobiny silnej woli zależy udanie się sprawy najważniejszej: dla czegoż przed dwoma godzinami, gdy pan Thorn tracił prawie przytomność na myśl widzenia Wiliama w więzach, a mój ojciec wahał się chwilowo, Mahora zaś z dziwnym zuchwałstwem rozkazywał nam uchodzić?... Dla czegoż wtedy ja nie ująłem steru całej sprawy? Czemu nie powiedziałem głośno i stanowczo:

— Towarzysze!... mnie słuchajcie jak przywykliście słuchać w domu i w kantorze naszym w Tangary, jako zastępcy mego ojca: pozostawmy tu wszyscy! Skryjmy się nie w samej dolinie, lecz przeciwnie w najwyższe otaczające ją szczyty skał gęstwiną obrosłe i gdy nieprzyjaciel wejdzie w tę kotlinkę, palny w całą gromadę, zwolna i uważnie, niby rotowym ogniem, a wydusimy ich jak dzikie zwierzęta w legowisku, choćby ich było trzy razy tyle co nas!... Niespodzianka i rozważne, a zgodne działanie są także siłą!

— Prawda! tak trzeba było zrobić! Co za prosta jasna myśl!

— A jednak nie wypowiedziałem i nie zamieniłem w czyn tej prostej myśli na razie! Prawdziwie zazdroścę Frankowi, który zamiast myśleć, działał przynajmniej!...

— A!... to prawda!... Franek jeden!...

— Ja?... a cóż ja uczyniłem?...

— Wchodziłeś milcząc na drzewo rozłożyste, z którego gęstwi mógłbyś niewątpliwie poprowadzić stosownie do okoliczności dalsze działanie!...

— A tak, i zeskoczyłem zeń, a raczej spadłem przerażony kilkoma słowy Mahory!...

— Zawsze ta małoduszna nieufność w siebie!... To bezsilne poddawanie się cudzemu kierunkowi! To wstyd panowie!...

— I żal w dodatku i wyrzuty sumienia... bo oto siedzimy tu beczynnym w tej norze, czekając nie wiedzieć na co, gdy każda chwila jest nam drogą, Mahory i Wilka ani śladu; a tymczasem Wiliam i Klara może, już sprzedani, jęczą gdzie na pełnym morzu w głębi handlarskiego okrętu!

— Zgroza! okropność! Czyliż nie mamy własnej woli?

— Co tu robić? Czas stosowny do działania przechodzi a my czekamy!... na co?

Coraz gwałtowniejszą tę rozmowę czterech wzburzonych żalem chłopaków, przerwały nagle słowa kapitana Lory, wpadające do ich uszu pomimo że nie dla nich wypowiedziane były w tej chwili:

— Wilko i Mahora, jak panowie sami utrzymujecie zdolni są upilnować dzikich, ręczę zaś za mego Carré że potrafi nam tu do jaskini donieść natychmiast, gdyby tamci dwaj zażądali pomocy, bo układał się z waszym Rahibem co do całego systemu telegraficznych okrzyków, w mojej obecności, wyruszając ztąd napowrót przed godziną. A oto tu przed nami widzicie usadowionego wysoko wśród skał, jednego z moich zuchów, który za pomocą doskonałej lumety, widzi ztamtąd całe wybrzeże i morze okoliczne. I otóż raporta, które odbieram tak od niego wprost, jak i od mego Carré, za pomocą pawich wrzasków, upewniają mnie dotąd stanowczo, że dzicy spo-



czywają w lesie w swój kryjówce i że żaden okręt nie pojawia się na morzu. Znaczący to, że handlarz czeka na zapadnięcie cieniów nocy a dzicy czekają prawdopodobnie na odpowiedź ze strony tego lotra *oberżysty*, jak go nazywacie, powiadomianego o ich przybyciu trzema zbiorowemi wystrzałami. O znaczeniu tych wystrzałów dowiedziałem się od was dopiero i mocno żałuję że nie wiemy jako berżysta zwykły odpowiadać na nie, gdyż wtedy wyręczylibyśmy go, a to w celu podejsia i zdemaskowania tego Chińczyka, który kraży tu obecnie i zbliży się, byle tylko noc zapadła. Pewny jestem że to niecy handlarz niewolnikami i pragnąłbym bardzo schwytać go na uczynku. Jeżeli się nie mylę to bawimy się w tej chwili w „chowanego”. On z całym pokładem zapchanym klatkami pełnemi krzyczącego na najrozmaitsze tony drobiu, przepłynął wczoraj koło mnie podrażniając uprzejmie, pytając przez tubę czy nie kupię drobiu, i zniknąwszy mi z oczu w dzień, wrócił potem w nocy i skrywając się w pobliżu w zaułkach wysp tutejszych oczekuje, aż ja się oddalę, aby mógł wpaść do Rangorskiej zatoki po nieszczęsnych niewolników. Nie mogłem nigdy odgadnąć jakim sposobem to mu się udaje, a przekonany jestem że udaje się często; teraz dopiero objaśniony przez was rozumiem, że wasz „oberżysta” trzymający straż na wysokiej skale, kierował, za pomocą znaków umówionych, jego ruchami, uwiadamiając go o moich. Otóż dzisiaj wyjątkowo, dzięki wam, nie mógł on mu żadnych dać ostrzeżeń, Chińczyk nie wie że i ja się w pobliżu schowałem i prawdopodobnie nadchodzącej nocy zechce zakraść się na swoje targowisko, a wtedy... Kto wie czy z waszjej łaski nie pochwyć lotra na gorącym uczynku!

Kapitanowi czy się śmiały z radości na samą myśl zakończenia owej gry w „chowanego”, w którą już nazbyt długo bawił się z podejrzanym, wręcznym Chińczykiem. Spostrzegł snadź jednak, że goście z niewielkim jakoś zajęciem słuchają jego planów, bo nagle dodał:

— Tylko nie myślcie panowie, proszę, że dla moich interesów zapominam o waszych: niech tylko noc zapadnie, natychmiast rozpocznie się komedia, a może i wodewil i nie zaręczam czy na zakończenie nie będziemy podziwiać ogni bengalskich, lub coś w tym rodzaju, gdy Chińczyk wyleci w powietrze, straciwszy nadzieję wyśliznięcia się innym sposobem. Tymczasem zaś, lada chwila otrzymacie wieści od waszych służących Indyan, którzy z pewnością czekali tylko ciemności aby łatwiej przemknąć się niepostrzeżenie.

Jeszcze kapitan Lory tych słów nie domówił, gdy przy nagle prawie zapadającej nocy, jak to zazwyczaj bywa pod równikiem, dały się słyszeć odgłosy nocnych ptaków.

— A przecież to już noc! — zauważył z westchnieniem pan Thorn.

— To też słyszycie już zamieniane hasła. Zapalić kaganiec tu, dla nas! Ognisk nie rozniecać wcale, aby nas nie zdradziły!

Właśnie gruby knot bawełniany zabłysnął płomieniem, umieszczony w napełnionem oliwą, przypadkowo wielce nieestetycznych kształtów małym wydrążeniu w skale, wewnątrz jaskini, i oblał drżącym fantastycznym półświatłem zgromadzone w różnorodnych pozycjach postacie, gdy po kilku nowych odgłosach nocnych drapieżników, wysmudy cień Indyanina zjawiał się w otworze.

— Indyanin Wilko, kapitanie! — zawiadomił stojący u wejścia majtek.

Wszyscy skoczyli ku przybyłemu:

— Wiliam? Klara? Klara? Wiliam?... — pytano tłumnie nie umiejąc ze wzruszenia sformułować inaczey zapytań.

— Pan Wiliam jest! Zbiedzony ciężko i poraniony, ale żyje i dosyć nawet silny. Panny Klary niema...

— Niema! Wielki Boże!...

— Ale żyje!... tylko chora była, i dla tego niektórzy rozbójnicy uważali że należy pozwolić jej odpocząć w Tungara, gdyż inaczey umrze w drodze i wartość jej przepadnie. Inni nie zgadzali się na to, utrzymując, że należy sprzedać ją czemprędzej zanim umrze właśnie; przyszło z tego powodu do

kłótni i bójki pomiędzy dwoma pokoleniami rozbójników. Zwyciężyli pierwsi, pozostawili pannę Klarę u swoich w Tungara, a sami wiodą tu nietylko pana Wiliama ale i jedenastu swoich własnych ziomków na sprzedaż, wziętych w niewolę w ostatniej bójce. Zwycięzców jest cała chmara, dziewięćdziesięciu przeszło, a nieulega wątpliwości że w razie walki z białymi, niewolnicy, prócz jednego pana Wiliama, stanęliby po stronie ciemniejszych swoich. Niema zatem sposobu zwalczania ich w otwartej walce, jak chcieli młodzi panowie, tembardziej, że teraz już są wszyscy doskonale uzbrojeni zbrojowaną na białych bronią. Zresztą byłby w takim razie pan Wiliam z pewnością w wielkiem niebezpieczeństwie. I z tem mię Mahora przysła, że trzeba koniecznie obmyśleć jaki podstęp. On sam został tam nieruchomy na drzewie, aby wiedzieć co lotry zamierzają nadal zrobić. Dotąd, dawszy znać o swem przybyciu naszemu oberżystcie, którego oni zwą Sihal, dziwią się że on im nie odpowiada, uczują, śpią, odpoczywają i czekają czy za nadejściem ciemności, nie odpowie im trzykrotnym wężowym ogniem, gdyż toby znaczyło, że handel może odbyć się tej nocy, bo przystęp do zatoki jest swobodny.

— Dzieci!... na honor marynarski!... czy nie domyśla się kto, co znaczy „wężowy ogień”— zawołał kapitan do swoich „wilków” z których niejednego mógł być wnukiem. Niestety, żaden z nich nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

— Ja wiem, to najprostsza rzecz — odparł Wilko — bierze się lada głównię płonąca i macha się nią szybko w powietrzu tak, aby wytworzony przez to zygzak ognisty, naśladował zwykle wężowe zakręty...

— A więc jeśli kochasz pana Wiliama i chcesz go uratować, chłopcze drogi, pędź co siły do opuszczonej chaty Sihala, masz oto pudełko zapalek abyś nie szukał ognia, i zrób tam coprędzej „wężowy ogień”, bo niemylnie, jeżeli dla zbójców znaczy on, że ich „rynek” jest dostępny, to i dla handlarzy znaczy toż samo, mój Chińczyk zatem powinien coprędzej wyleżeć z poza swoich parawanów. Spiesz synku, nie traćmy czasu!

Ale Wilka nie było już przed kapitanem; pochwycając z rąk jego nietylko zapalki ale i sporą papierosnicę wraz z zapalkami wyjętą w pośpiechu, znikł.

— Ejże!... — zaszeptano — do chaty na skale jest kawałek drogi i to pod górę po skałach, ale Indyanie dziwne są lotni, a Wilko będzie chciał pokazać co umie, ciekawa rzecz jak prędko ujrzymy „wężowy ogień”...

I wszyscy wylegli z jaskini czepiając się skał pod zasłoną ich i nocy patrząc, w górę w stronę chat Sihala; wiele serc rwało się w piersiach w trwożnym oczekiwaniu, czując dobrze że od pośpiechu Wilka, kto wie czy nie cała sprawa zawisła. I dla tego też właśnie trzeba było całej przytomności umysłu obecnych, aby stłumić gwałtowny okrzyk zdziwienia, wyrzuwający się ze wszystkich piersi, na widok ognistej krętej smugi zaledwie w kilka minut zarysowującej się raz, drugi i trzeci silnym blaskiem, wysoko kędyś w powietrzu, na tle ciemnego nieba.

— Ależ to prawie niepodobna!... on jeszcze nie mógł tam zabiedz!... — wątpili jedni.

— Ho ho, Indyanie mają skrzydlate nogi, a Wilko ma i serce w dodatku, gdy o pana Wiliama albo pannę Klarę chodzi — odpowiadali drudzy.

— A teraz czy są jakie rozkazy? Bo ja wracam do Mahory, może mię potrzebować — odezwał się głos znajomy i Wilko wręczył kapitanowi skrupulatnie resztę zapalek i garść papierosów do połowy wypalonych.

— A to co? Ty już z powrotem?... a to... co jest?... — pytał kapitan zdziwiony szaloną chyżością wpół dzikiego człowieka.

— To pańskie papierosy, ślicznie się niemi robi wężowy ogień i nawet nie ze wszystkiem się wypaliły, jeszcze można je użyć... — odparł Wilko.

— Ach, to więc z kilku tuzinów papierosów zapalonych ścisnąwszy je w rękę w snopek, zrobiłeś wężowy ogień?... A to przepyszna rzecz!



— Doskonała panie kapitanie!

— Dziękuję ci, wracaj teraz do generała Mahory, bo jak sądzę należy mu się wśród waszego sztabu ten tytuł, i utrzymuj stosunki dalej pomiędzy nami!

— Baczość! okręt na pełnym morzu!... — ozwało się w tej chwili tłumione a przeciągłe wołanie od czatowni wśród skał otaczających, zatokę a wysuniętych bardziej niż inne na morze. Wszyscy skoczyli ku czatownikowi:

— Okręt? to dobrze, ale Chińczyk, czy nie Chińczyk? — Przez mnóstwo szpar i szczelin w skałach nagromadzonych bezładnie, przypatrywano się odległemu widmu okrętowemu, rysującemu się bardzo niewyraźnie na ciemnym tle morza, ale coraz wyraźniejszych, nabierającym kształtów w miarę zbliżania się.

— Niezgrabny jak żółw, ale mimo to szybko płynie, to właśnie na handlarza wygląda — mruzczał kapitan usiłujący przebić oczyma ciemności. — I płynie od małych wysepek co także na handlarza patrzy... poczekajmy, jeżeli za dwie minuty skieruje ku Rangorskiej zatoce, to on z pewnością!...

Przestano rozmawiać, oczekując z najwyższym napięciem... nareszcie okręt skierował się wyraźnie ku pożądanej stronie:

— Chińczyk! — cień ludzki wymawiający, hasło zamajaczył nagle i Rahib zeskoczył z głazów.

— Panowie, czy Sihal nie zemknął? — zapytał. Wszyscy pobiegli do jaskini, ale tam niezbyt rączy lecz wierny, czujny i rozumny Ralf siedział nieodstępnie między oberżystą i jego żoną i pilnował ich z pistoletem nabitym w rękę.

— Nie, Sihal nie zemknął. Cóż się stało?

— Nie wiemy co, lecz strażujący na zewnątrz lasu Indianie przybiegli do bandy, wołając, że Sihal dał nareszcie znak oczekiwany, że można iść do zatoki, zerwano się żwawo, zbudzono pana Wiliama i wszyscy ruszają już w stronę zatoki Rangorskiej.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI

Powiadają, że pająki bardzo lubią muzykę i jest to rzeczą dowiedzioną, że chętnie zbliżają się do instrumentu, jeżeli ten wydaje dźwięki łagodne i ciche; od zbyt głośnych zaś uciekają.

Angielski przyrodnik Boyos wykazał wszakże, iż przyczyną tego pozornego zamiłowania do muzyki jest omyłka, jaką pająk popełnia, biorąc brzęczenie narzędzia muzycznego za brzęczenie muchy, stanowiącej jak wiadomo naturalny pokarm pająka. Boyos robił takie próby, że dotykał naprzykład kamertonem liścia podtrzymującego przedzę pająków ogrodowych; wtedy pająk siedząc w pośrodku pajęczyny zaczynał szybko obracać się w koło i dotykać przednimi nogami nici pajęczyny, aby przekonać się, która z nich się kołysze i z tego kierunek dźwięku odgadnąć. Dowiedziawszy się tym sposobem, w którą stronę ma biedz, pająk szybko zbiegał aż do samego kamertonu rzucał się na niego ogarniając go swemi nóżkami i póty po nim biegał dopóki amerton brzęczał. Nie dźwięki więc nęcą pająka lecz wrażenie, spowodowane dźwię-

kami na niciach pajęczyny i pozwalające pająkowi mniemać, że idąc w kierunku dźwięku, znajdzie pokarm, dla takiego jak on łakomca, zawsze pożądany.

## ZADANIE LICZBOWE.

13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13

Kratki powyższe zapelnij liczbami tak, ażeby z dołu do góry, z prawej i lewej strony oraz na krzyż zawsze wypadła liczba 65.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Kwiatu Lotosu dla Poranka Majowego.

Sylaby: An—buk—ói—Du—dy—dy—E—e—Fa—glik—I—je—ka—ka—kło—li—li—mir—mo—Na—na—naj—miec—ny—Or—Öa—Pe—Ry—La—to—Tim—tyzm—Zło—tu—zra:  
Z tych sylab ułożyć 13 wyrazów. Początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko węgierskiego poety, a końcowe z dołu do góry, imię i nazwisko węgierskiego powieściopisarza, połączone ze sobą spójnikiem. Znaczenie wyrazów: 1. Naród północny. 2. Metal. 3. Mieszkaniec Europy. 4. Miasteczko w ks. Poznańskim. 5. Rzeka w Austrii. 6. Gromada wysp na Atlantyku. 7. Jezioro w Sejneńskim. 8. Ptaki z rządu pływających. 9. Tytuł turecki. 10. Miasto w środkowej Afryce. 11. Dwie samogłoski. 12. Przesadne wyobrażenie. 13. Naród starożytny.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go

### Łamigłówek sylabowej:

1. Kremer. 2. Lasso. 3. Onyx. 4. Nero. 5. Obol. 6. War-na. 7. Ichneumon. 8. Chili. 9. Zemsta.

Klonowicz — Roxolania.

### Rebusu:

Pająk szuka jadu a zaś pszczoła miodu.

**Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Zjawiska powietrzne (z drzew.) — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Śpiew łabędzi, wiersz p. Witolda Łaszczyńskiego. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przygoda państwa Psińskich (z drzew.) — Kłamstwo, komedyjka w jednej odsłonie p. Pegaza Skrzydlatego. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



## Przygoda państwa Psińskich.

(Dokończenie).

Ustroiła się też paradnie i kazała podobnie ustroić się mężowi (choć co prawda były to kostiumy z końca zeszłego wieku, nabyte na jakiejś tandecie, jako rzeczy najświeższej mody). Za rodzicami szedł Trezorek w nowym także kubraczku, trzymając w łapkach ptaszka, którego

oni nie ustąpią nam z drogi i trzeba się będzie rozprawić w publicznem miejscu...

— Ależ oni nigdyby się nie ośmielili... kiedy ty nie chcesz to ja idę naprzód — i podniósłszy głowę do góry zawołała: — Z drogi mości panowie, czyż nie widzicie że my chcemy tędy iść dalej...

Odpowiedziało jej tylko głucho warczenie, mające niby znaczyć: Ani myślimy ci ustępować, wybierz sobie inną drogę mościa Psińska.

Tego już było zanadto, w porywie gniewu pani



mu dano do zabawy. Gdy weszli do ogrodu zwrócili na siebie wszystkie oczy. Pińczerkowscy, Mopsińscy i inni znajomi ustępowali im śpiesznie z drogi i pani Psińska nie posiadała się z radości, krocząc wspaniale środkiem ulicy, dopóki przy bramie przeciwniej téj, którą weszli, po pod murem poblizkiego domu, nie dostrzegła Burkowskiego i Kruczkowskiego. Stali oni tam spoglądając przed siebie ponuro, i zagradzali dalsze przejście. Dostrzegł ich także sam Psiński i tknięty niemilem przecuciem, które mu nie dawało spokoju od rana, chciał zawrócić z drogi. Ale nie pozwoliła na to pani Psińska.

— Jakto — zawołała — chcesz przed nimi uciekać? A to ślicznie!

— Powiadam ci że lubię żyć w pokoju z drugimi,

Psińska uderzyła wachlarzem prosto w nos Kruczkowskiego...

Co zaszło wtedy to opowiedzieć trudno... dość, że kapelusz pani Psińskiej spadł na ziemię i wiatr uniósł go gdzieś daleko a z uszu jej krew się polała... Psiński pomimo wrodzonej łagodności, rzucił się w obronę małżonki, która też mimo poturbowania nie ustąpiła z placu, i słychać było tylko głucho i zajadłe warczenie przeciwników, zbitych w jedną ruchomą masę tarzającą się po ziemi, z której raz po raz odlatywały na bok strzępy, szarpanych ostremi zębami ubiorów. Trezorek porzucając ptaszka, który uradowany frunął na drzewo, skrył się pomiędzy krzaki. Mopsińscy, Pińczerkowscy, Wyżelkowscy i inni obecni znajomi Psińskich, trzymali się



na uboczu, i nie wiadomo na czem byłoby się skończyło, gdyby nie konewka wody, którą dozorca ogrodu wylał na głowy zapaśników... Ochłonęli dopiero wtedy... Kruczkowski i Burkowski pomknęli zaraz żwawo do swych domów a i Psińskim skoro tylko dźwignęli się z pobjowiska, nie pozostawało nic innego do czynienia... Ale jakże powrót ten różnym był od tryumfalnego wejścia do ogrodu! Odarci, zabłoceni, a co gorsze pokaleczeni, ledwo się zawlekli do swój budy, a za niemi szedł Trezorek nie już w żwawych podskokach, ale skomląc żałośnie nad smutną przygodą rodziców.

Psiński nie czynił teraz żadnych wymówek małżonce, wiedząc że została ukarana dostatecznie za swą próżność. Pani Psińska też rozczulona jego dobrocią uczyniła postanowienie poprawienia się z téj brzydkiej wady i słuchała nadal we wszystkim roztropnych rad męża, a że odrazu się poprawić trudno, więc nieraz brała ją ochota popisać się czy to ubiorem, czy jakimi innymi powierzchownymi zaletami, ale zawsze wtedy przypominała sobie smutną przygodę w ogrodzie, stwierdzającą prawdę przysłowia że: „Kto się wywyższa poniżonym będzie” i zaraz odchodziła jęj ochota do zadowolenia swój próżności.

## KŁAMSTWO.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSEONIE,  
napisał Pegaz skrzydlaty.

### OSOBY.

FRANIA }  
LEON } rodzeństwo.  
LUDWIK krewny i kolega Leona.  
ANNA, służąca.

(Scena przedstawia pokój jadalny, w głębi drzwi do przedpokoju, z prawej kredens lub szafa, z lewej etażerka z kwiatami, na środku stół i kilka krzesel; rzecz dzieje się pod wieczór).

### SCENA I-a.

FRANIA I LEON.

FRANIA. (spoglądając na zegar ścienny). Już i po siódmém, a tu nikogo jeszcze nie widać, wątpię nawet, czy na taką słotę przyjdzie kto dziś do nas, deszcz leje jak z cebra, stracona zabawa (siada).

LEON (siada z książką przy stole). Na Ludwika liczę śmiało, on nigdy nie zawodzi.

FRANIA (zrywając się z krzesła). Co, tego nudziarza prosiłeś znowu do nas, aby mię dręczył przestarzałemi swemi dowcipami? Nie, wolę już raczej sama cały ten wieczór przepędzić, niżli się choć na chwilę znajdować w jego towarzystwie (chodzi wzdłuż sceny).

LEON. Cóż więc chcesz uczynić?

FRANIA. Nie przyjmę go dzisiaj i rzecz skończona: Anna powie mu, iż nie spodziewając się już gości, wyszliśmy się przejść...

LEON (kończąc). Po błocie: nieszczególna to wy-

mówka, a jeszcze bardziej niegrzeczna, bo kiedym go już prosił...

FRANIA. Ja zaś sądzę, że lepiej nie przyjmę kogoś, niżli poziewać w jego towarzystwie (ziewa).

LEON. Nie, nie mogę się na to zgodzić.

FRANIA. Mój drogi Leonku, proszę cię, zrób to dla mnie.

LEON. Czyń jak chcesz, od wszystkiego ręce umywam.

FRANIA. Dobrze (dzwoni).

### SCENA II-ga.

CIŻ I ANNA.

ANNA (wchodzi drzwiami z lewej strony). Panienska na mnie dzwoniła?

FRANIA. Tak; jak przyjdzie pan Ludwik, powiesz mu, że... nie spodziewając się już nikogo u siebie na taką słotę, wyszliśmy się przejść...

LEON (na stronie kończąc). Po błocie.

ANNA. Jakżeż ja mam tak powiedzieć, kiedy panienska siedzi z paniczem w domu?

LEON (do siebie). Jakaż ona niemądra!

FRANIA (niecierpliwie). Więc dla tego, że jesteśmy, nie można powiedzieć iż nas niema?

ANNA. Oczywiście, bo toby było kłamstwem.

FRANIA. No, no, tylko bez uwag! Powtórzysz com powiedziała (siada naprzeciw brata).

ANNA (z uśmiechem). Jak panienska każe, lecz coby pani powiedziała, gdyby się dowiedziała o tem!... (odchodzi).

FRANIA. Nieznośna z temi swojemi uwagami. Czy tylko jeszcze Ludwik przyjdzie?... (za sceną słychać dzwonek).

LEON. O wilku mowa...

(Leon i Frania zrywają się pośpiesznie od stołu i chowają się, pierwszy za kredens, druga za etażerkę, tak jednak, iż są przez widzów widziani. Anna wprowadza drzwiami w głębi na scenę Ludwika, szepcząc mu coś na ucho).

### SCENA III-cia.

FRANIA I LEON, (schowani) LUDWIK, ANNA.

LUDWIK (udając zdziwienie). Cóż to, niema nikogo?

ANNA. Panienska i panicz, nie spodziewając się już gości wyszli na przechadzkę.

LUDWK. Ach, co za szkoda, wiedziałem że na taką słotę nikt z zaproszonych nie przyjdzie, idąc więc do teatru z moją matką, wziąłem bilety dla panienski i panicza, dwa więc bilety stracone!

(Leon i Frania słysząc to załamują ręce i czynią komicznie rozpaczliwe gesta).

ANNA (z udanym żalem). A szkoda, wielka szkoda, że poszli na przechadzkę, bo lubią teatr (uśmiechając się złośliwie) a pewno nieprędko wrócą.

LUDWIK. Proszę powiedzieć paniensce i paniczowi o mojej bytności (z naciskiem) i chęci zaprowadzenia ich do teatru (wychodzi).

ANNA (idąc za nim). Dobrze, proszę pana.

(Leon i Frania z kwaśnemi minami wychodzą na środek sceny z ukrycia).



SCENA IV-ta:

LEON I FRANIA.

LEON. Przepadł teatr!

FRANIA. A dziś taka śliczna opera.

LEON. Masz, coś chciała.

FRANIA. Przecież ja temu nie jestem winną.

LEON. Więc może ja?

FRANIA. Tak; ty i nasza arcy dowcipna Anna...

LEON (*wzruszając ramionami*). Ja? Anna? Przecież tyś to kazała zamknąć mu drzwi przed nosem!

FRANIA (*przeciągłe*). Taaak, alem ja tego sama nie wykonała (*chodzi wzdłuż sceny*).

LEON (*przedrżniając ją*). Taaak, wiedz więc o tem, że wina spada na autora nie na aktorów, więc czegoż chcesz od nas?

FRANIA. Ty, jako mężczyzna i głowa rodzeństwa i dobry kolega nie powinienes się był na to zgodzić; a Anna żeby była mądrzejsza, to słysząc, iż Ludwik chce nas zabrać do teatru powinna go była zatrzymać, a nie dodawać jeszcze, że nieprędko wrócimy.

(*w czasie tej rozmowy Ludwik staje niepostrzeżony we drzwiach w głębi sceny*).

LEON. Mądraś, ale po szkodzie. Tyś winna wszystkiemu!

FRANIA (*klóćąc się*). Nie, ty!

LEON (*j. w.*). Ty, ty.

(*Leon i Frania odwracając się spostrzegają teraz Ludwika, patrzą na niego zdziwieni i zawstyżeni, poczem biegą ku niemu*).

SCENA V-ta.

CIŻ I LUDWIK.

FRANIA. Ludwik!

LEON. Przebacz przyjacielu, wstydzę się sam za siebie.

FRANIA. Mnie tylko przebacz Ludwiku, jam jedna winna tu wszystkiemu.

LEON. O nie, i ja niemniej zawiniłem, nie powinienem był na to pozwolić!

LUDWIK (*idąc naprzód sceny*). Sami przyznajecie się do winy, chętnie więc wam ją wybaczam, bo żal łagodzi karę.

FRANIA (*ze smulkiem*). Lecz nie zmniejsza winy.

LUDWIK. Zapomnijmy już o tem (*całując się*).

LEON. Zgoda, Ludwiku, nie zapominaj jednak, że to już 8-ma dochodzi: spóźnisz się do teatru, zaraz cię odprowadzimy (*sięga po palto*).

FRANIA. A pozostałe dwa bilety oddaj komu innemu, zastąpi to nam należną za kłamstwo karę.

LUDWIK (*z uśmiechem*). Niestety i ja dopuściłem się dziś kłamstwa, mówiąc o kupieniu biletów do teatru przed wami tu ukrytemi, bo służąca powiedziała mi prawdę...

LEON. Poczcziwa Anna, lecz jakżeż ona nas zawstydzła!

FRANIA. To prawda!

LEON. Ale wiesz Ludwiku, że tym teatrem wzbudziłeś w nas żal za popełnione kłamstwo, wyboryni miałeś pomysł.

LUDWIK (*z uśmiechem*). Klin klinem został tedy wysadzony, lecz zawsze lepiej unikać téj ostateczności nawet w dobrym celu, nie kłamać, choć tu co prawda zwieść was tylko chciałem (*we drzwiach ukazuje się Anna*).

FRANIA. Będę się odtąd strzegła kłamstwa w najdrobniejszej rzeczy.

LEON. I ja także!

LUDWIK. A więc nich żyje prawda!

WSZYSCY. Niech żyje!

(*kurtyna zapada*).

ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Grażyna.

	mu	dła	twy
szy	nie	dne	lą
gie	go	brzy	chcą
	mu	dru	Je

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Steli w Ż. od Niezapominajki z nad Jabłoni.

Z następujących sylab: no — Laj — An — Sa — pol — bach — bi — Tar — na — E — ti — wa — zi — rie. — Ułożyć pięć wyrazów, których początkowe litery utworzą imię dla kogo zagadka jest ułożoną, a końcowe w kierunku przeciwnym imię tego kto ją ułożył. Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Miasto w Galicyi. 3. Jezioro w Ameryce. 4. Miasto w Illiryi. 5. Port czarnogórski.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Zagadki na śniadanie:

Dzieci znalazły jaj 18; stłukły 8; było razem 16, użyto na jajecznicę 8.

Zadania konikowego:

Wskazuj drogę błędącemu

Solon.

Skrzynka do listów.

Brzydotce z nad Tamizy za przyslaną śliczną fotografię serdecznie dziękujemy, zachowamy ją wśród najmiłszych naszych pamiątek. Zaginione numera posyłamy najchętniej.



**Balladynie.** Zgadnij sama, miła czytelniczko, czy „Listy z Atlanty” są powieścią, czy też listami prawdziwymi. Nie jeden kraj oprócz nazwy, pod którą znany jest w geografii i w stosunkach dyplomatycznych z innymi krajami, posiada jeszcze nazwę drugą, mniej rozpowszechnioną, jak na przykład Irlandya, nazywająca się u siebie „Zielonym Erynem”, a Hiszpania z Portugalią „Półwyspem iberyjskim”. Autorka *Niezgodnych królewiczów*, opisująca ich przygody dla pożytku młodych czytelników, mogła użyć właśnie, drugiej, mniej znanej nazwy wyspy, aby oszczędzić miłość własną królewiczów, boć niezgoda, czy należy do przeszłości, czy nie, nie przynosi nikomu zaszczytu. Wszakże na świecie wiele prawd uchodzi za bajkę, a niejedno co się bajką być zdaje, jest najprawdziwszą prawdą! Nie ty jedna zapytywałaś się o to: jest więcej takich ciekawych, odbieramy od nich ciągle listy. Niech więc ta odpowiedź zarazem i dla innych posłuży. Co do Janka sieroty, to nie pisał on w roku zesłanym korespondency z Ojcowca, bo tam nie był, ale opowiadał „o Pieczarach białskich” znajdujących się w Tatrach, które zwiedził.

Nic w tem niema dziwnego, że **Wołodjowski** pisze do Kmicica, ale że tamci poematy pisali... szablonami, więc poezyi niewprawnym jeszcze piórem skreślonej, drukować nie będziemy, czekając na lepszą od tej, poezję czynu, którą niewątpliwie utworzyć kiedyś potrafi ten, kto się w młodocianych latach do obowiązków swoich poczuwa.

Jak to miło mieć tak nie wymagające, tak zgodne, tak delikatne korespondentki, jak ty nasza kochana **Szarotko!**

**Droga Złota Przędzo**, miło nam dowiedzieć się od ciebie, że słowa nasze zawsze ci są pożądane, a tym razem użytecznymi były. Widzisz sama, jak to przy dobrej woli i wprawie łatwem się wydaje to, co nas z początku przerażało swoim ciężarem? Pytaniami tyczącemi się Atlanty zarzuceni prawdziwie jesteśmy i cieszymy się, że autorka wpadła na szczęśliwy pomysł, który tak swą oryginalnością zaciekawia miłych naszych czytelników. Ostatnie z twoich przypuszczeń jest trafne.

**Lobellii** ślicznie dziękujemy za przyslaną dla biednych dzieci robótkę. Jako rozrywkę po ręcznej pracy lubisz widocznie powieści, skoro tak cię same ich tytuły zajmują. „Druga matka” również jak i „Z wyspy Atlanty” mają ogólne powodzenie, jak zresztą wszystko, co wychodzi z pod pióra naszych współpracowników.

**Liścik Prawdy** bierzemy pod opiekę; lamigłównki i szarady potrzebują być przejrane, zanim o nich coś stanowczego powiemy. Z książek polecamy następujące: Geografię Czarkowskiego (jeżeli dla młodszych dzieci) kop. 60. z przesyłką kop. 85, jeżeli dla starszych Nałkowskiego, z przesyłką rs. 2 kop. 85. Historię powszechną Zdanowicza z dopełnieniem aż do r. 1875 M. Dubieckiego, z przesyłką rs. 5. kop. 20. Literaturę Dubieckiego rs. 6 z przesyłką rs. 6 kop. 60.

**Ant: Gr:** wie zapewne, że przysłane nam liściki, których zawsze jest mnóstwo, czekać muszą z wydrukowaniem, aż kolój na nie nadejdzie, czyli że te, które już leżą od niejakiego czasu w Redakcyi, muszą iść do druku wcześniej od świeżo nadesłanych.

**Puhacz z nad Dniepru** nadesłał nam rebusy, które pewnych poprawek potrzebują. Żądany numer posłano.

**Kuropatewko z nad Warty**, jakżeż nie wydrukowne liściku, co go takie maleńkie rączki takimi dużymi literami pisały!

Jak robotnikowi na łanie tak tobie, **Przyjaciółko** droga, mówimy: „Boże dopomóż” w zamiarach, które na początku szkolnego roku tworzysz. Wakacje „przeleciały” ci prędko, bo czas miałaś tak wybornie rozłożony, że i na rozrywkę i na zajęcia znalazła się pora sposobna. *Poobiednie* zajęcia twoje szczególnie nam do smaku przypada... Między poezjami Syrokomli zwróć uwagę na wierszyk A. B. C. przed kilkoma laty w naszym piśmie przedrukowany.

**Kuropatwa z nad Ikopetiu** mylnie tworzy domysły... Fotografję „Kochanej pani” wysłaliśmy; na kolonje letnie pozostaje kop. 55. Prosimy o powtórzenie podanego nam adresu.

Niema „mizernej pracy”, **Cicha falo**, gdy jest praca prawdziwa! A przypowieść o wdowim groszu zapewne ci znana od dawna?

**Sosenki** praca także była taką, jaką najwyborniej określiła znana poetka Gabryela, mówiąc „praca powinna być utrudnieniem szczerem”. Wyrećcałaś ojca, dopomagałaś matce, byłaś więc prawdziwie użyteczną! A że nie znalazłaś na mapie Atlanty, to już nie twoja wina, ani nawet autorów „Atlasu powszechnego”. Autorka powieści tak bardzo was zaciekawiającej ma wiadomości o sobie tylko znanych krajach, do których, jak wiecie jeden tylko Janek sierota wstęp znalazł... Za serdeczne słowa płacimy odpowiedź, że nigdzie chyba nie ma gromadki tak poczciwych i serdecznych czytelników, jak ci, którzy rodzinę Wieczorów składają. Niech rosną Bogu na chwałę a ludziom na pożytek. Tobie szczególnie, Sosenko, należy się gorące błogosławieństwo od matki tego dziecięcia, któremu, szyjąc dlań ubranie, życzyłaś „by rosło zdrowe i szczęśliwe”.

Za pamięć o nieobecnej Gołąbce dziękujemy Wołodjowskiemu, Lobelli, Prawdzie i Złotej Przędzy. Pomocnica nasza bawi w tej chwili za granicą, gdzie wysyłamy jej nasze Piemko, ale nie możemy przysłać listów, jakimi ją obdarzają życzliwi. Powinaby się niedługo do was odezwać...

Kochany Pływaku! Twój pseudonym bardzo mnie się podobał, postanowiłem więc napisać ci coś o sobie. Mieszkam latem w Nieświeżu, a zimą w Berlinie, wolę wieś niż miasto. Na imię mi Stanisław, mam 10 lat. Lubię bardzo czytać, najlepiej podobała mi się Gwiazda Sudanu. Donieś mi coś o sobie. Ścisza ciębie *Zos*.

Kochana mała Pedantko z nad Nidy! Wybrałaś sobie pseudonym dosyć osobliwy, zwłaszcza dla tak młodej osótki. Co do mnie chociaż w porównaniu z tobą jestem sędziwą staruszką (bez siwych włosów i zmarszczek wprawdzie) wcale jednak nie jestem pedantką, moralistką przedź. Imię moje przypomina klasztorne pomieszkania zakonników, odgadnij je więc i donieś mi, czy ci się podoba. Uczę się ciągle, czytając poważne książki i uczę znowu moje młodsze siostry. Szesnastoletniego wojewodę przeczytam dopiero gdy się skończy, bo nie lubię wystawiać mej ciekawości na próbę. Zegnaj mi, Pedantko, i odpisz niedługo, jeżeli cię nie znudzi istota tak zgrzybiała jak życzliwa ci *Wiochna z pod Lublina*.

**Kuropatewko z nad Ikopetiu!** Dziękuję ci za dołączone dla mnie pozdrowienie, do mnie nigdy jeszcze nie pisałaś, korespondowałaś tylko z Filaretką, moją siostrzyczką. Donieś mi proszę jak ci na imię, ile masz lat. Lilijko z nad Oslawy, zgadłaś iż przyjazd Filaretki do domu ucieszył mię bardzo, po pracy odpoczynek miły, szczególnie jednakże widzenie siostrzyczki, z którą rok cały rozłączoną się było. Przyjmijcie serdecznego buziaka od *waszej, Gałązki paproci*.

**P. S.** Przesyłam serdeczne pozdrowienie: Brzydotce z nad Tamizy, Szarotce alpejskiej zapytując, który kraj jest miejscem jej pobytu: Pieszczotce prosząc o doniesienie czy jest nową korespondentką i o wyjaśnienie powodu pseudonymu.

**Droga Kuropatewko z nad Ikopetiu.** Mam teraz wakacje. Czy będziesz ze mną korespondować? Mam lat 14 skończonych, jestem więc starszą od ciebie. Mieszkam także na wsi. Jaskółko z nad Dunaju, ogromnie mi się podobały twe listy; nie zazdroszczę ci jednak, wolę ja ciche ustronie rodzinne w ojczystej ziemi, aniżeli szumne stolice obczyzny. Przyjmijcie obiedwie uściśnienie i odpiszcie Filaretce.

Drogi moje Czarodziejko, Halko z Litwy i Ako! Tobie Czarodziejko już raz odpisywałam; myślę jednak, że mój liścik nie będzie zamieszczony, bo go już bardzo dawno posłałam. Nie jestem córką lekarza i mam tylko jedną siostrzyczkę; chętnie pisywać będę do ciebie jeżeli zechcesz Halko droga; ucieszyłam się bardzo twą odezwą. „Szesnastoletni wojewoda” zachwyca mię także. Donoszę ci, Ako, że mieszkam w pow. Zaslawskim na wsi. Donieście mi proszę, coś więcej o sobie i nie zwlekajcie z odpowiedzią. Ścisza was po milion razy *Wiedenka z żywopłotu* dawna Biała Chmurka.